

Ks. ANDRZEJ SZOSTEK MIC

## ■ Wspomnienie o śp. Księdzu Tadeuszu Styczniu SDS, moim Mistrzu i Przyjacielu

Jestem szczęściarzem. Studiowałem filozofię i teologię w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim w latach 60. i na początku lat 70. ubiegłego wieku. W teologii był to czas posoborowych przemian. Nowy program studiów oferował znacznie poszerzoną refleksję nad Pismem Świętym, a my, w lubelskim seminarium duchownym, mogliśmy słuchać wykładów, niekiedy porywających, twórcy lubelskiej szkoły biblijnej, ks. prof. Stanisława Łacha. Ks. prof. Franciszek Greniuk, znakomity moralista, uznał, że nie może już realizować tradycyjnego kursu teologii moralnej, a nowy miał dopiero formę wstępnego szkicu, nam więc, studentom, powierzył zadanie wypełniania tego szkicu treścią, omawianą potem wspólnie na zajęciach. Jakże nas ten nowy styl dydaktyki mobilizował! Wśród wielu wybitnych profesorów w szczególnej pamięci pozostały mi wykłady ks. prof. Mieczysława Żywczyńskiego z historii Kościoła, które zawsze były niezrównanym połączeniem pasji, erudycji i inteligencji. Podobne szczęście spotkało mnie na studiach filozoficznych. KUL był wolny od ideologii marksistowsko-leninowskiej, a Wydział Filozofii Chrześcijańskiej obfitował w wybitne osobistości. Bogactwo myśli filozoficznej wczesnego Odrodzenia odślaniał przed nami świecki audytor Soboru Watykańskiego II, prof. Stefan Świeżawski (on jeden nazywany był powszechnie po prostu Profesorem). U szczytu swych naukowych aspiracji i osiągnięć byli współpracujący blisko z Profesorem i ze sobą: ks. prof. Stanisław Kamiński, o. prof. Mieczysław A. Krąpiec, ks. prof. Marian Kurdziałek, a także – dojeżdżający z Krakowa – ks. arcybiskup, a potem kardynał Karol Wojtyła. Wymieniam tylko

---

Ks. prof. dr hab. ANDRZEJ SZOSTEK MIC – kierownik Katedry Etyki na Wydziale Filozofii KUL JPII w Lublinie.

niektóre nazwiska z długiej listy tych, których słuchało się z wielką satysfakcją. Panowała tu atmosfera jakiejś radości, pasji poznawczej, poczucie uczestniczenia w wielkiej intelektualnej przygodzie. W szerszym sensie wszystkich tych Profesorów uznać mogę i uznaję za Mistrzów, wszyscy oni bowiem nie tylko ubogacali moją wiedzę i nadawali kierunek mojemu myśleniu, ale wpływali także na całą moją osobowość; pośrednio, bez natarczywego moralizatorstwa, kształtowali mój charakter – a to chyba właśnie znamionuje Mistrzów.

W sensie węższym, niejako „mocniejszym”, mistrzów nie może być jednak wielu. Ten „mocniejszy” wymiar relacji mistrz – uczeń zawiera w sobie jakąś bardziej indywidualną zażyłość, wprowadzanie ucznia w świat twórczych zamysłów i pracy mistrza, prowadzenie go do roli współpracownika w jego aktywności naukowej i dydaktycznej, która to współpraca nie narusza jednak bynajmniej rdzenia relacji mistrz – uczeń. W tym sensie miałem jednego Mistrza. Był nim śp. ks. profesor Tadeusz Styczeń SDS – i jemu jako memu Mistrzowi pragnę poświęcić poniższe uwagi. Na pełną charakterystykę więzi, która się między nami wywiązała, nie ma tu miejsca, mogę tylko w skrócie przedstawić ważniejsze elementy i aspekty tej dynamicznej relacji, jaka mnie z moim Mistrzem przez długie lata, coraz głębiej łączyła.

Był więc ks. Styczeń moim Mistrzem po pierwsze przez to, że czynił dosłownie wszystko, abym mógł jako jego uczeń rosnąć i dojrzewać. To nie brało się z jakiegoś szczególnego sentymentu wobec mnie. Motywem tego starania o mój rozwój było przekonanie o ważności sprawy, której służył: o ważności ludzkiej osoby, jej moralnego kręgosłupa, który ostatecznie decyduje o człowieczeństwie człowieka, o jego wielkiej, ale i trudnej godności. Kiedy ks. Styczeń dostrzegł, że mnie pasjonuje to, co pasjonuje jego, że to, co sam uważa za ważne, jest także ważne dla mnie – pragnął szczerze i żarliwie, żebym był, jeśli to możliwe, lepszy od niego. Wiedział, że problematyka moralna jest trudna i nikt nie jest w stanie jej zgłębić i wyrazić w sposób całkowicie satysfakcjonujący. Każdemu więc, u kogo odnajdywał lub potrafił w nim obudzić tę samą pasję i troskę o człowieka i jego dobro, gotów był nieba uchylić. Toteż nie byłem jedynym jego uczniem, ani nie pretenduję do miana najwybitniejszego; widziałem, jak ks. Styczeń podobnie odnosi się do innych, którzy stawali się jego uczniami. W jego stosunku do mnie i do innych uczniów nie było cienia zazdrości – i chyba nas tą ideą bezinteresownego szukania prawdy zaraził tak dalece, że również w gronie jego uczniów nie dostrzegłem jakiegokolwiek zazdrości. Gdyby się ona zdarzyła, głęboko by Mistrza zasmuciła i chyba w jego oczach oznaczałaby dyskwalifikację zazdrośnika jako ucznia. Kiedy więc okazało się, że dla mego naukowego rozwoju niezbędna jest znajomość języka

niemieckiego, ks. Styczeń najpierw udostępnił mi materiały do nauki (głównie taśmy magnetofonowe), a następnie postarał się o możliwość wyjazdu na kurs j. niemieckiego do Austrii oraz na nieco dłuższy tam pobyt. Kiedy zgodził się, bym doktorat pisał o filozoficznych aspektach dyskusji toczących się wśród współczesnych teologów-moralistów, to postarał się dla mnie o stypendium i pobyt w jednej z niemieckich uczelni (z tej inicjatywy niewiele wyszło, ale nie z winy ks. Stycznia). Gdy trzeba było znaleźć zaciszne miejsce dla dokończenia doktoratu, namówił Siostry Urszulanki Unii Rzymskiej w Nałęczowie, by mnie przyjęły jako czasowego kapelana. Udostępniał mi wszelką literaturę, którą sam miał i która mogła być dla mnie przydatna; przy czym słowo „udostępniał” w większości przypadków oznaczało po prostu: „dawał mi” swe książki. Przykłady można mnożyć.

Po drugie, był otwarty na pomysły, które mogły jego własne drogi myślenia ubogacić – i w tym sensie zachęcał wręcz do tego, bym stawał się jego współpracownikiem. To się w moim przypadku zaczęło jeszcze w trakcie studiów magisterskich. Słyszałem, jak niektórzy z jego magistrantów narzekali, że po każdej konsultacji otrzymują od ks. Stycznia inne wskazówki. Ale ja chyba wyczułem, że jemu chodzi o twórczy dialog, a nie o posłuszne stosowanie się do odgórných dyrektyw. Pisałem pracę magisterską o etyce jako nauce empirycznej w ujęciu T. Kotarbińskiego i T. Czeżowskiego. Pamiętam, że kiedyś ks. Styczeń wyraził opinię, że ich pomysły trudno uznać za dojrzałą koncepcję etyki i sugerował rozszerzenie tematu. Ja zaoponowałem, poniekąd broniąc obu filozofów – i zauważyłem, że ks. Styczeń ucieszył się z mej opozycji i zgodził się z zasugerowaną mu koncepcją pracy. Potem dyskutowaliśmy o sensie i zakresie normy personalistycznej; ja – jeszcze magister – zwracałem uwagę na konieczność uwzględnienia także relacji pomiędzy człowiekiem a światem pozaludzkim. Konkluzją było zaproszenie mnie przez niego do napisania wspólnie artykułu. Wiem, że współautorstwo oznacza niekiedy to, że jeden autor pisze, a potem godzi się dopisać nazwisko innego profesora. W przypadku artykułu *Uwagi o istocie moralności* tak nie było. Opracowawszy plan całości (ten plan był głównie autorstwa ks. Stycznia), siedliśmy w Nałęczowie, gdzie u niego gościłem, w dwóch pokojach i redagowaliśmy różne fragmenty wspólnego artykułu. Podobnie układaliśmy jakiś czas później zarys wystąpienia w Kazimierzu nad Wisłą na temat możliwości dialogu pomiędzy marksistowską a tomistyczną etyką. Plan pochodził znów bardziej od ks. Stycznia, ale – na jego prośbę – referat głosiłem ja. Wiele było takich wspólnie przygotowywanych i głoszonych referatów lub pisanych artykułów. I to nie ja byłem tym, który dopominał się o aktywną rolę w tej współpracy; to ks. Styczeń mnie

do tego usilnie zachęcał. Gdy odkrył podobny do swego nurt myślenia u prof. Josefa Seiferta, podjął ścisłą współpracę z kierowaną przezeń Międzynarodową Akademią Filozoficzną i mnie w tę współpracę wciągnął; razem prowadziliśmy kilkakrotnie wykłady w Liechtensteinie. Wielokrotnie dawał mi swe teksty do czytania i zawsze z krytyczną uwagą odnosił się do proponowanych przeze mnie poprawek. I znów: przykłady można mnożyć.

Ta współpraca przebiegała także na płaszczyźnie dydaktycznej. Niepokoiłem się, że – zatroskany o obronę personalizmu przed zagrożeniem ze strony eudajmonizmu i deontonomizmu – mój Mistrz zbyt zawęży problematykę całego wykładu kursorycznego z etyki jedynie do sporu o normę moralności. Ks. Styczeń przyznał mi rację – i chyba za moją sugestią rozwinął własny wykład o problematykę prawa naturalnego, sumienia i aretologii. Kiedy jego mistrz, kard. Wojtyła, został papieżem i zaangażował go do pracy w Uniwersytecie Laterańskim, to ks. Styczeń z kolei poprosił mnie o współprowadzenie seminarium i prowadzenie – w jego i własnym imieniu – prac dyplomowych. I jeszcze jedno znamienne wydarzenie. Ks. Styczeń przez wiele lat był bardzo łagodny w ocenie studentów na egzaminie, nikt nie schodził poniżej czwórki. Gdy zaś trafiła się jakaś „papiaska okoliczność” (np. pięciolecie pontyfikatu Jana Pawła II), to dawał same piątki. Zapytałem go któregoś dnia przy kolacji: „A co powiesz tym, którzy na piątkę naprawdę zasługują?”. Nic nie odpowiedział. Parę dni później przyjmował egzaminy z wybranych zagadnień z etyki. To wykład dla starszych lat, tam rzeczywiście egzaminatorzy stawiają na ogół wysokie oceny. Ks. Styczeń przepytał pięcioro studentów naraz, jak zawsze bardzo kulturalnie. I postawił pięć dwój. Szok był niezwykły, dobrze, że studenci nie wiedzieli o naszej rozmowie.

Po trzecie, ks. Styczeń zapraszał do przyjaźni. Nigdy tego wprost nie deklarował, jakby rozumiał, że przyjaźń (w odróżnieniu chyba od miłości) nie wymaga deklaracji, te bowiem raczej mogą ją zakłócić, niż pogłębić. Zapraszał przez to, że odślaniał swoje zamiłowania i cieszył się, gdy mogłem w nich uczestniczyć, chciał też znać moje fascynacje i je wspierać. Nie zawsze to się udawało. Chciał mnie m.in. nauczyć jazdy na nartach, którą bardzo lubił, ale trafił na wyjątkowo tępego ucznia. Nie bardzo też rozumiał moje zamiłowania do gier, ale akceptował je, np. kupując mi komplet figur szachowych (nawiasem mówiąc, poprosiłem go, bym sam mógł jego prezent wybrać, bo jego wybór był fatalny). Wspólnie dzieliliśmy zamiłowanie do muzyki, więc wiele spotkań przebiegało tak, że najpierw jedliśmy kolację, przygotowaną – na jego prośbę i na jego koszt – przez naszą wspólną współpracowniczkę panią Marię Filipiak, potem mówiliśmy na tematy filozoficzno-etyczne, a wreszcie słucha-

liśmy w trójkę – w ciszy i w ciemności – muzyki i o niej rozmawialiśmy, Kochał przyrodę, więc wielokrotnie odbywaliśmy razem spacerory lub słuchaliśmy słowików. Jego umiłowanym mistrzem był kard. Karol Wojtyła-Jan Paweł II, toteż wprowadzał mnie w jego myśl i działalność apostolską, inspirując wiele wspólnych spotkań i rozmów. Praca naukowa i dydaktyczno-organizacyjna obfituje w wiele jasnych momentów, ale nie jest przecież wolna od trudności, niekiedy dramatów. Ks. Styczeń często dzielił się ze mną zarówno swymi radościami, jak i rozterkami – nie tyle oczekując pomocy w rozwiązaniu konkretnych problemów (choć i takie rozmowy bywały), ile raczej szukając życzliwego słuchacza, który dzielić będzie jego radości i zmartwienia. Chętnie zapoznawał mnie również z członkami swojej rodziny, naturalnej i zakonnej, sam także poznał moich bliskich i dawał się zaprosić na spotkania z marianami.

Był – *last but not east* – księdzem i zakonnikiem, przeżywał głęboko swą wiarę. Ja też jestem księdzem i zakonnikiem, zrozumiałe jest więc, że zapraszał mnie – podobnie jak innych swych uczniów i współpracowników – do wspólnej modlitwy i wspólnych duszpasterskich działań. Pamiętam, jak dzielił się z nami – w trakcie wspomnianych wieczorów kolacyjno-filozoficzno-muzycznych – rekolekcjami, które miał wygłaszać w Gdańsku, a potem w KUL. Ja także dzieliłem się tym, o czym chciałem mówić w trakcie rekolekcji, które miałem głosić w naszej Uczelni. W efekcie wydaliśmy razem medytacje rekolekcyjne *Miłości, gdzie jesteś?* Tekst i styl ks. Stycznia różni się od mojego, a jednak oba cykle medytacji składają się na jedną całość. Wspomnieć muszę dni skupienia, które organizował dla pracowników Instytutu Jana Pawła II KUL, z reguły przewodniczył wtedy mszy świętej i głosił homilię. Pamiętam wiele rozmów dotyczących naszej wiary, zakonnej tożsamości, misji, jaką mamy do spełnienia w Kościele i świecie. Tak umacniała się nasza przyjaźń. Wciąż w niej był moim Mistrzem, a partnerski charakter licznych spotkań i rozmów tej relacji nie naruszał. Wciąż etyka i jej problemy pozostawały w centrum uwagi, ale etyka ma to do siebie, że wręcz prowokuje tych, którzy się nią parają, do rozszerzenia i pogłębienia wzajemnych relacji, aż po wymiar przyjaźni.

Czy idę tropem mego Mistrza? *Nemo iudex in causa sua*, boję się wydawać sądów o sobie. Tak znakomitym mistrzem dla swoich uczniów z pewnością nie jestem. Osobny to temat, którego nie ważę się tu poruszać, wchodzi tu bowiem w grę zarówno elementy osobowościowe, jak i głębokie przemiany w systemie akademickiej edukacji. Ale myślę, że jednym z istotnych znamion dobrego ucznia jest kontynuowanie – życzliwie krytyczne – drogi wyznaczonej przez mistrza. Pragnę tak właśnie okazać wierność ks. Styczniewi: nie tyle powtarzając głoszone przez niego tezy i argumenty, ile raczej rozwijając jego

myśl, a nade wszystkim kontynuując jego szczere zatroskanie o sprawę człowieka i moralności oraz współpracując twórczo z tymi, którzy tę pasjonującą troskę dzielą.

## MEMORIES OF THE LATE FR. TADEUSZ STYCZEŃ SDS, MY MASTER AND FRIEND

### Summary

Fr. Prof. Tadeusz Styczeń SDS, deceased in 2010, was for many a master leading the way to the world of ethics. Fr. Prof. Andrzej Szostek MIC remembers him not only as a master, but also as a friend. It was Fr. Styczeń's aim, that each of his students could grow and mature. He stirred up in his students the „idea of disinterested search for the truth”. As a profesor he was open to the ideas of his students, which could enrich his own ways of thinking; he wanted to have a creative dialogue and not obedient adherence to predetermined directives. Prof. Styczeń invited friendship. He never stated this openly, but he welcomed it by revealing the things he loved. He also enjoyed other people taking part in them. He also wanted to learn about the fascinations of others and support them.